

Królestwo

**Wierzono niegdyś, że pszczoły mają dusze. Nie są udomowione jak inne zwierzęta. Są raczej domownikami. W noc Bożego Narodzenia pszczelarze pukali w ule i mówili: „Wasz Pan się narodził”.**



Jarosław Modzelewski, "Pszczoły mogą uządlić", 2000 r. / Kolekcja Marty Tarabuły, reprod. dzięki uprzejmości Galerii Zderzak

Zobacz także:

• [Nr 47 \(3254\), 20 listopada 2011](#)

Wieczorem idę z ojcem do pasieki. Jest chłodno, z dołu nadciąga mgła, trzeba zwięzić wloty do uli. Ojciec mówi, że musimy to zrobić po cichu, nie budząc strażniczek. Pozwala mi spróbować. Staję z tyłu ula i wyciągam rękę, żeby poprawić wlot. To prosta czynność i robię ją sprawnie, ale kiedy cofam rękę, czuję niespodziewany ból. No tak, pod ulem rosną niskie, pełne jadu pokrzywy, musiałem któreś dotknąć.

W drodze do domu spoglądam na obolałą dłoń i dostrzegam swoją pomyłkę. W mój nadgarstek wbiła się pszczoła. Odrywam ją szybkim ruchem, a ojciec wyjmuje żądło i smaruje to miejsce octem. Robi to spokojnie: wie, że niewielka opuchlizna, która się pojawiła, do rana zniknie.

Jestem wybrany: nie puchnę. Mogę pracować przy pszczołach.

Pracę w pasiece poprzedza cały ceremoniał. Ojciec przygotowuje narzędzia, potem rozpala podkurzacz: blaszaną puszkę z mieszkami, w której spala się suche kawałki spróchniałej wierzby. Prawidłowo rozpalony podkurzacz dymi jak lokomotywa. Potem się przebieramy. Wkładamy stare, flanelowe koszule z zaszytymi rękawami, zapinane pod szyją. Na głowach mamy kapelusze z szerokimi rondami i siatką, która osłania twarz. Ja dodatkowo wkładam rękawice.

Przed rozpoczęciem pracy ojciec dokładnie myje ręce. Dłonie nie powinny pachnieć. Daje mi do niesienia podkurzacz i gęsie skrzydło. Mam dziesięć lat. W pasiece jest pięć uli. Moje główne zadanie to podawać i podkurzać. Kiedy dmucham, otępiałe pszczoły na jakiś czas tracą orientację. Chodzi o to, żeby nie żądliły ojca, kiedy zdejmuje nadstawki, strzepuje skrzydłem owady i przepatruje ramki w poszukiwaniu mateczników. Ojciec pracuje gołymi rękami.

– Jak to możliwe, że tak rzadko dostawałeś żądłem? – pytam wiele lat później. – To prawda, że pszczoły rozpoznają swojego gospodarza po zapachu?

Ojciec mówi, że to prawda. I że reszta jest tylko kwestią doświadczenia. Jego kuzyn, wujek Antek, bardzo często pracuje bez maski. „Otwierasz ul i od razu czujesz, w jakim pszczoły są nastroju. Jeżeli są złe, robisz tylko to, co konieczne. Zresztą pszczelarz dobrze wie, kiedy iść do ula, a kiedy nie. Na przykład nie idzie się do ula, kiedy zbiera się na burzę. Miód trzeba brać, kiedy na polu jest jeszcze pożytek, wtedy pszczoły nie martwią się o zapasy na zimę. Jeżeli chcesz pracować gołymi rękami, musisz to robić pewnie, nie nerwowo”.

Jest lato 1977 r. Jeździmy na wakacje do prawie stuletniego domu, którego dziś już nie ma. Typowa drewniana chałupa z sienią i dwiema izbami, w której mieszkają babcia i dziadek. Pobielona z zewnątrz, wygląda jak ciemne ciasto z błękitnym nadzieniem. Śpimy w drewnianych łózkach na twardych siennikach, przykryci olbrzymimi pierzynami. Pod oknem stoi skrzynia, w której babcia przechowuje pościel. Nad głowami wiszą święte obrazy: Jezus i Maria rozchylają szaty, żeby pokazać nam swoje serca.

Chłopi w różnych stronach Polski wierzyli przez stulecia w boskie pochodzenie pszczół. Opowiadali, że Jezus, wędrując przez świat ze świętymi Piotrem i Pawłem, trafił do domu skąpej gospodyni. Ta, nie chcąc się dzielić jedzeniem z przybłędami, rzuciła w świętego Pawła kamieniem i rozcięła mu czoło. Rana apostoła nie chciała się goić, a na jej brzegach pojawiły się robaki. Jezus zebrał te robaki i zamienił je w pszczoły. W innym podaniu pszczoły narodziły się z rany, którą odniósł sam Jezus, z przelanej boskiej krwi – jak Kościół.

Wierzono też, że pszczoły mają dusze. Nie są udomowione jak inne zwierzęta, które można nauczyć posłuszeństwa. Są raczej domownikami, których powiadamia się o ważnych wydarzeniach w świecie i w rodzinie. W wielu stronach w noc Bożego Narodzenia pszczelarze pukali w ule i mówili: „Wasz Pan się narodził”. Wierzono, że pszczoły rozmawiają wtedy w ulu ludzkim językiem, a woda w rzekach na krótką chwilę zamienia się w miód. Podobnie postępowano w Nowy Rok i Wielką Niedzielę.

Budzono pszczoły również wtedy, gdy w domu ktoś umierał. Wiązało się to z bardzo dawnym przekonaniem, że tam, gdzie jest nieboszczyk, nie wolno zasnąć: we śnie dusza opuszcza ciało i może spotkać się z duszą zmarłego, a ta poprowadzi ją ze sobą na tamten świat. Pszczoły, jako posiadające duszę, były wystawione na podobne niebezpieczeństwo jak ludzie. W niektórych rejonach Polski z wiadomością o śmierci gospodarza szedł do pasieki jego najstarszy syn lub najbliższy przyjaciel. Mówił pszczołom, że ich gospodarz nie żyje, i obiecywał, że nie zostaną bez opieki. Czasem dmuchał w wylot ula. Wierzono, że jeśli się tego zaniedba, pszczoły mogą umrzeć z żalu za dotychczasowym właścicielem.

W 2000 r. zbierałem materiały do biografii ks. Józefa Tischnera. Jego rodzice byli wiejskimi nauczycielami, ojciec był zapalonym pszczelarzem, chętnie dyskutował z chłopami o zwyczajach pszczół, czytywał fachową literaturę. Zachowało się zdjęcie małego Tischnera biegającego po pasiece w podkoszulku i majteczkach; w tle widać jego ojca zbliżającego się do uli z podkurzaczem, w owalnej masce używanej powszechnie, zanim pojawiły się kapelusze. Opowiadano mi, że dzień po pogrzebie starego Tischnera jego grób gęsto obsiadły pszczoły. Przyleciały, żeby się pożegnać ze swoim gospodarzem.

Umyślnie zabicie pszczoły było grzechem. Kiedy pszczoła wpadała do domu, otwierało się okna i wyganiało ją na zewnątrz. Osy i szerszenie mogliśmy zabijać bez ograniczeń, nie tylko dlatego, że zagrażały człowiekowi, ale również dlatego, że atakowały ule. Ilekroć podczas pracy w pasiece ojciec zgniół przez nieuwagę jakąś pszczołę, wzdychał lub syczał zły na siebie za to, że nie był dość ostrożny.

Dopiero studiując historię pszczelarstwa, ze zdumieniem odkryłem, że przez długie wieki po ostatnim miodobraniu likwidowano część pszczelich rodzin, aby zostawić w pasiece na zimę jak najmniej miodu. Używano do tego wrzącej wody lub siarki. W nowym roku puste ule zapełniano rojami, które wyszły z rodzin pozostawionych przy życiu. Była to praktyka powszechna, choć nie wszędzie uznawana za moralną; dlatego zadanie zniszczenia pszczół często powierzano obcym, w Polsce np. Cyganom lub Żydom.

O pszczole nie mówiło się: zdycha, jak o koniu czy krowie, lecz: umiera, jak o człowieku. W przeciwieństwie do osy, pszczoła ginie po użądleniu: próbując wyszarpać harpunowate żądło, rozrywa własne wnętrze. Z tego powodu stała się symbolem ofiarności: nie tylko dzieli się z człowiekiem tym, co wytwarza, ale potrafi też oddać życie w obronie swojej rodziny. Oczywiście, istnieją też pszczoły-rabusie. Wdzierają się do uli i zabierają zgromadzone zapasy, mordując bez litości strażniczki, a następnie dokonując rzezi wśród robotnic. Pamiętam widok takiego spustoszonego ula: martwe ciała pszczół leżące w kupkach, sklejone resztkami miodu spływającego z otwartych plastrów.

Pierwszy raz idę pomóc ojcu przy pszczołach 7 czerwca 1977 r. Ojciec zapisał tę datę w swoim dzienniku. Czerwiec tamtego roku był niezwykle upalny, temperatura dochodziła do trzydziestu stopni w cieniu. „Pszczoły pracują na pełnych obrotach po 12-13 godzin dziennie” – zanotował ojciec. Stoję z ojcem przy ulu i czuję, że cały jestem spocony. To niedobrze, bo zapach potu rozdrażnia pszczoły. Stoję jednak w kłębach dymu, bardziej pachnę tłącym się próchnem niż własnym ciałem. 12 czerwca przeglądamy wszystkie pięć uli. Ramki są już ciężkie od miodu. Ojciec pokazuje mi, jak wygląda matka, a jak truteń. Przy czwartym ulu zaczynam się trochę nudzić, poza tym robię się głodny. Zostawiam ojca na chwilę i biegnę do domu, żeby coś przekąsić. Podobno mówię: „Tak mi burczy w brzuchu, że pszczoły zaczynają się złościć, bo myślą, że idzie burza”.

Pasieka ojca to proste ule typu warszawskiego: drewniane domki otwierane z góry i z boku, nakryte spadzistymi daszkami obitymi papą. Trzy są w kolorze niebieskim, jeden w żółtym, jeden w orzechowym. Osobno stoi „miś”, wydrążony przez dziadka i ojca w topolowym pniu. To ul typu kłoda stojak, ale ozdobiony wyrutą z przodu sylwetką niedźwiedzia i nakryty spiczastą słomianą czapką. Wlot do „misia” znajduje się na wysokości jego brzucha. W 1977 roku nie ma w nim pszczół. Ojciec robi mi przy nim zdjęcie, jestem w samych majtkach i tenisówkach. Choć przyjemnie jest biegać bosą, ze względu na pszczoły nie można tego robić w pobliżu pasieki.

„Miś” pojawił się trochę z tęsknoty za ulami figuralnymi, jakie ojciec i dziadek widywali na zdjęciach w książkach o hodowli pszczół. Najczęściej wyobrażały postacie świętych: patrona pszczelarzy Ambrożego, Bartłomieja, opiekuna pszczół i lasu, Wawrzyńca, który troszczył się o całe pasieki. Także Floriana, który chronił przed pożarem, Jana Nepomucena, który bronił od powodzi, czy Franciszka, który wszystkie stworzenia nazywał swoimi siostrami i braćmi. Według niektórych historyków, zanim pojawiły się ule figuralne, w pasiekach stawiano rzeźby świętych, aby chronić pszczele rodziny przed nieszczęściami. A ponieważ rzeźby te bywały wydrążone od środka, zdarzało się, iż pszczoły zakładały w nich nowe gniazda. Stąd pomysł rzeźb-uli, który pojawił się w XVII wieku.

Z czasem zaczęto stawiać ule w kształcie kościoła, pałacu czy wiatraka, baby, górala lub niedźwiedzia albo wielkiej głowy, która przyjmowała pszczoły otwartymi ustami. W muzeach ojciec zawsze ciągnął nas, żeby nam pokazać, jak taki ul wygląda od środka. Przez dziurę, z której wyjęto zatwór, patrzyliśmy na opustoszałe wnętrze, czasem z poczerńiałymi resztkami plastrów. Wiele lat później zobaczyłem takie ule w pasiece-skansenie, zasiedlone przez pszczele rodziny. Obciążone nektarem pszczoły siadały na dłoni świętego Ambrożego, za którą ukrywał się wlot. Inne zrywały się z niej do lotu i wyglądało to tak, jakby święty strzelał pestkami słonecznika.

Lubiłem zachodzić do pracowni ojca, która mieściła się w stodole. Pomieszczenie pachniało woskiem, kitem pszczelim, miodem i trochę dymem z ubrań, bo rozpalonego podkurzacza do stodoły wnosić nie było wolno. Po skończonej pracy tłące się resztki próchna wysypywało się na trawę i zalewało starannie wodą. W pracowni wisały puste ramki, stały nieużywane nadstawki, topiarka do wosku, miodarka do odwirowywania plastrów, rojnica, do której zbierało się wyrojone pszczoły. Na półkach leżały małe klateczki do przenoszenia matek, listewki, gęsie skrzydła, odsklepiacze i przecinaki.

Światło padało przez niewielkie okienko, pod którym ojciec zamontował drewniany blat – swój warsztat pracy. Patrząc, jak zakłada w ramkach węzę, bawiłem się szczyrykiem, metrem lub grubym stolarskim ołówkiem, tak różnym od tych rachitycznych ołówków, którymi posługiwaliśmy się w szkole. Pracownia była wąska, więc kiedy tam zachodziłem, właściwie bardziej przeszkadzałem, niż mogłem pomóc.

Najintensywniejsze wspomnienia wiążą się z braniem miodu. Biegaliśmy do pasieki po plastry otrzepane z pszczół i zanosiliśmy je do domu, gdzie odwirowywano je w miodarce. Miodarka wyglądała jak bęben na trzech nóżkach; do środka wkładało się trzy plastry, a następnie trzeba było kręcić korbą tak długo, aż siła odśrodkowa wyrzuciła z odsklepionych komórek cały zebrany w nich miód. Miód spływał po ścianach bębna do otworu zakończonego kranikiem, a stamtąd do garnka nakrytego gazą.

Kilka razy podczas miodobrania ojciec dał mi do spróbowania kawałek wypełnionego miodem plastra. Zgniatało się go w ustach w kulkę, podczas gdy miód spływał powoli do gardła. Jedyne w swoim rodzaju uczucie: słodycz połączona ze świadomością, że trzyma się w ustach jakby kawałek świecy. Scena na poły biblijna, gdy Bóg podaje Ezechielowi do zjedzenia zwój, na którym spisane są skargi i narzekania Izraela, i zwój ten w ustach proroka ma smak miodu.

Sześć lat temu w należącej do moich przyjaciół pałacu w Ryczowie pod Krakowem zobaczyłem obraz Jarosława Modzelewskiego zatytułowany „Pszczoły mogą uządlić”. Obraz, namalowany w stylu naśladowującym międzywojennych prymitywistów, przedstawia scenę w pasiece: na pierwszym planie stoi pszczelarz w kapeluszu z siatką, długim fartuchu i wysokich gumowych butach. W prawej ręce trzyma dymiący podkurzacz, w lewej uniesione w górę gęsie skrzydło. W tle widać sylwetkę biegnącego mężczyzny w białym płaszczu (lub także fartuchu) i małym, turystycznym kapelusiku, który ogania się rękami przed niewidzialnymi pszczołami. Pomiędzy jedną a drugą postacią na niewielkim, lecz wyraźnie zaznaczonym wzniesieniu stoją trzy brązowe ule. Cała scena rozgrywa się na tle soczystej, arkadyjskiej zieleni, spoza której wyglądają białe kopuły chmur i błękitne niebo.

Pszczelarz na obrazie Modzelewskiego emanuje godnością i spokojem (inaczej niż np. na słynnym rysunku Pietera Bruegla, gdzie pszczelarze przedstawieni zostali jako rabusie). To opiekun i strażnik, a nie hodowca; ktoś, kto stara się nie krzywdzić natury, za co natura odplaca mu podobną życzliwością. W świecie pełnym lęku, niecierpliwości i ignorancji pszczelarz zna i szanuje prawa, których nie ustanowił. To dlatego jego świat jest jasny, pełen intensywnych barw. Jest wysłańcem Arkadii, jedynego mitu, którego nie sposób obalić, bo rodzi się na nowo z każdym przyjściem człowieka na świat.

Mimo że byłem wybrany, nie zostałem pszczelarzem. Ojciec też nie ma już pszczół. Przeniósł je najpierw z rodzinnej wsi do innej, a w końcu – po pięćdziesięciu dwóch latach pszczelarzenia – z bólem zrezygnował z ich trzymania, gdy wokół miejsca, gdzie postawił ule, zaczęły wyrastać nowe domy. Trzy ostatnie rodziny wzięły do siebie wujek Antek. „Uwielbiałem pracę wokół pszczół – napisał ojciec w dzienniku. – Wpatrywanie się w ich życie i przebywanie wśród nich. Na ile pozwalał mi czas, o różnych porach dnia zachodziłem do pasieki, w której zawsze coś innego się działo. Kiedy chyliło się już słońce i ostatnie pszczoły zlatywały się do uli, a w pasiece unosił się przyjemny zapach miodu, lubiłem siadać przy ulach lub opierając się na jednym z nich, wspominać minione lata. Pasieka stała mi się swego rodzaju »świątynią« wspomnień”.

Nie zostałem pszczelarzem, ale co jakiś czas przypominam sobie ten moment: trzymam w ustach woskową kulkę, trzymam nawet wtedy, gdy słodycz przestaje już z niej wypływać.

*Tekst został napisany do książki „Przejścia i powroty”, towarzyszącej wystawie pod tym samym tytułem, przygotowanej przez Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie. Wystawa była prezentowana w tym roku w Marsylii, a od 8 października można ją zobaczyć w budynku MEK w Krakowie przy ul. Krakowskiej 46.*